№ 34. Warszawa, dnia (12) 25 Sierpnia 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.	półrocznie . . „ 2.50
	rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9: w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane" wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i zagraniczne zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Pożar kościoła Częstochowskiego.

O godzinie 6-ej rano w dniu 16 Sierpnia na ulicach Warszawy znać było szczególne ożywienie. Grupy stróżów kamienicznych, służących, wyrobników dziennych idących do pracy, otaczały wszędzie kogoś z przechodniów trzymającego okolicznościowy numer „Kuryera,“ a ten wzruszonym głosem odczytywał kolejno nadeszłe w ciągu nocy depesze telegraficzne.

Wszędzie jeden tylko na ustach wykrzyknik: „Jasna Góra w ogniu!“ każda twarz nacechowana bolesnem wzruszeniem—w każdem oku łza żalu, jakiejś nieokreślonej trwogi i grozy!

Poczciwa czerniawa szara, mimo wszystkich zboczeń i wad swoich, oglądająca się zawsze na tę wieżycę strzelającą w obłoki, której widok sam na odległości milowe rzucał na kolana jej ojców i dziadów! Oby jej ten duch podniosły nie opuszczał wśród zatrutych wyziewów unoszących się z bagnisk duchowego zobojętnienia, wytworzonego przez naszą epokę!

Opowiemy w treści, jaki przebieg miało wydarzenie.

O godzinie 12¼ w nocy stanęła w płomieniach wieża klasztorna. Na razie zdawało się, że kościół jest zagrożony nieodwołalnie. O 1-ej godzinie runęła połowa wieży nie druzgocąc, szczęśliwym wypadkiem, wiązania dachowego, i na tem, powiedzmy, ograniczają się straty główne. Prócz tego na wielu budowlach najbliższych pozrywać musiano dachy dla umiejscowienia pożaru; dachy na kaplicy św. Pawła i na kruchcie kościoła spaliły się, byłe pokoje królewskie zniszczone.

Co do strat w ludziach — bez tych niestety nie obeszło się. Pomimo że wśród tłumu pątników i ludności miejscowej znaleźli się odrazu przytomniejsi, którzy zdołali zorganizować ratunek, odsuwając niepotrzebnych widzów z miejsc zagrożonych przewidywanem upadkiem części wieży klasztornej, pomimo, że duchowieństwo miejscowe ukazało się ostrzegając lud ratujący z całą gorliwością, mówią dzienniki o rannych, których tu nazwiska podajemy: Alfons Tomala poddany pruski, strażak Częstochowski (stan niebezpieczny)—Andrzej Popiński strażak Częstochowski (stan ciężki) — Józef Majewski członek straży Kaliskiej (stan ciężki) — Konstanty Szyma (stan groźny)—Wiesiołowski były właściciel apteki (spadł z wysokości drugiego piętra) — Aleksander Lampert urzędnik telegrafu (oparzenie na całem ciele) — Józef Szatkowski z Łowicza i Stanisław Brzeziński zecer z Warszawy ranni mniej ciężko.

Z wieży runęły właściwie dwie kondygnacye czyli dwa piętra, nadto zniszczony jest doszczętnie zegar nowy, bo przed kilku dopiero laty ustawiony, który kosztował poważną sumę, jak powiadają, 10,000 rubli zgórą. Ogółem straty obliczone są w chwili, gdy to piszemy, na 50,000 rubli mniej więcej. O zebranie rychłe tej sumy kłopotu oczywiście nie będzie najmniejszego. W niespełna godzinę po ugaszeniu pożaru rozpoczęły pątnicze kompanie składki na miejscu, kilka redakcyi uzyskało niezwłocznie pozwolenie władz na otwarcie u siebie przyjmowania ofiar, tak, że przystąpić do odbudowania spalonej części wieżycy możnaby dzisiaj nieledwie.

Przyczyną pożaru było puszczanie ogni sztucznych przez przybyłą kompanię kaliską.

Władysław Umiński.

Na szczytach.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

I.

W pracowni wynalazcy.

— No, a teraz baczność, Paulo — zawołał Furini, zbliżając się do wielkiego skomplikowanego aparatu szklanego, który stał na podmurowaniu w pośrodku obszernej pracowni.— Zaczynamy!

— Czy mam puścić prąd?

— Puszczaj, tylko powoli!

Nastała chwila ciszy, podczas której słychać było świergotanie ptaszków, bujających się na mirtowem drzewku, pod oknem czarnej, smutnej pracowni i daleki gwar tłumu, używającego przechadzki po ulicach miasta; wnet jednak te odgłosy umilkły, stłumione warczeniem motoru naftowego i maszyny dynamo-elektrycznej, która obracała się coraz szybciej i szybciej pod działaniem rzemiennego pasa, wijącego się jak wielki wąż, w półcieniu sali.

Furini rzucił okiem na rozpędzone maszyny, na przyrząd, świecący mnóstwem szklanych rurek i cylindrów, i na jego pięknej, oliwkowej twarzy zaigrał uśmiech zadowolenia. Nareszcie miał rozpocząć doświadczenia na wielką skalę, sprawdzić otrzymane poprzednio dziwne rezultaty. Drżącą ze wzruszenia dłonią dotknął czarnej gutaperkowej rękojeści, i w tymże samym momencie zewnątrz obszernego cylindra zaświecił snop elektrycznych iskier niebieskawym płomieniem.

Paulo zaciekawiony niemniej od pana, opuścił swe stanowisko przy maszynach i zatopił badawczy wzrok w aparacie.

— Zdaje mi się, że widzę parę - szepnął.

— Ulegasz złudzeniu, poczciwy Paulo — odparł wynalazca, marszcząc brwi.

— Oh, nie, panie Benedetto; żółty dymek wychodzi z tej rurki, przysięgam na Madonnę...

Obaj, pan i służący, nachyleni, z rękami opartemi na kolanach śledzili z najwyższem natężeniem wnętrze cylindra, oczekując ukazania się pary, o której mówił Paulo.

— Nic nie dostrzegam! — powtórzył Furini, z niecierpliwym gestem; puść silny prąd.

Paulo wrócił do maszyny; zaledwie jednak dotknął komulatora, gdy zapukano zlekka do drzwi.

— Kto tam?—zawołał Benedetto, nie odwracając głowy.

— Ja, Pietro—odparł bojaźliwy głos — ponieważ pan nieprzyszedł na obiad, więc przynoszę go tutaj. Pani prosiła bardzo, żeby pan zjadł zaraz, bo ostygnie na nic.

Drzwi rozwarły się i do pracowni wtoczyła się mała, pękata figurka kucharza Pietra, obładowanego talerzami i serwetą.

— Pani się gniewa, że pan morzy się głodem—mówił nizki człowieczek—jak tak dalej pójdzie, to nie będę miał dla kogo gotować, bo w domu ze zmartwienia także nikt nie je. Gdzie mam nakryć?

— Postaw to i odejdź—odparł Benedetto.

— Ot, tutaj—na tym kaflanym stole—służę panu, jeszcze gorące, potrawka z pulardy, bażant, pieczone kasztany, kukurydza w wodzie, polewka—niech pan siada!..

— Nie mam czasu—odparł cierpko Furini—proszę cię, Pietro, zostaw to wszystko, zjem później.

— Oh, znam się na tem — mówił kucharz, kiwając głową — potem zabiorę pełne talerze. Musi pan usiąść zaraz, inaczej pani będzie się gniewała.

— Powiadam ci, wynoś się do dyabła! — zawołał Furini, przyskakując z podniesioną pięścią do przestraszonego kucharza.

I zanim biedny Pietro zdołał się opamiętać wynalazca pochwycił go za ramiona i wypchnął za drzwi, potem porwał rozłożoną serwetę wraz z całem nakryciem i wyrzucił ją precz, za kucharzem.

— Precz łotrze! — krzyczał w najwyższem uniesieniu. — Jeśli poważysz się raz jeszcze przestąpić próg pracowni, zastrzelę cię! Zaklinam się, że zastrzelę! Precz!

Ciężkie podwoje zamknęły się z trzaskiem i Furini, nie zwracając uwagi na lamenty Pietra, zbierającego z płaczem potłuczone talerze, zaczął śledzić bieg doświadczenia.

— Paulo, zaryglnj drzwi i napisz zawiadomienie, że do pracowni wstęp wzbroniony. Inaczej nigdy nic nie zrobię... Czy puściłeś silniejszy prąd?

— Puściłem; cewka indukcyjna nie wytrzyma więcej, iskry mają pół metra długości.

— Dobrze; pisz kartę, tylko wielkiemi literami—rozumiesz?

Paulo wyciągnął z kąta kawał kartonu, umoczył pędzelek w atramencie i zabrał się do roboty. Właśnie chciał przylepić zawiadomienie, gdy w sieni rozległ się srebrny śmiech kobiecy i jakaś drobna rączka dyskretnie poruszyła klamką.

— Jezus, Marya! Znowu ktoś się dobija!—jęknął Furini, chwytając się z rozpaczą za głowę...

— Zdaje mi się, że to donna Angela—szepnął Paulo—czy wpuścić?

— Moja narzeczona? — zawołał Benedetto z radosnem zdziwieniem.

— I jeszcze ktoś, słyszę rozmowę.

Furini rzucał spojrzenia to na przyrząd świecący tajemniczymi blaskami, to na drzwi; w jego sercu toczyła się walka... chęć ujrzenia narzeczonej przemogła w końcu, bo zrobił gest przyzwalający.

— Wpuść—rzekł.

Tym razem zamiast pękatej postaci biednego Pietra, wsunęła się do laboratoryum młodziutka, dwudziestoletnia zaledwie, piękna brunetka z czarnemi jak węgiel oczyma i alabastrową twarzyczką, na której igrał figlarny uśmiech.

— Namyślałeś się, czy mi otworzyć, ty czarnoksiężniku przebrzydły! — zawoła z żartobliwym wyrzutem — nieprawdaż? Przyznaj się.

— Wybacz Angelo!—odparł uczony, całując wyciągniętą na przywitanie rączkę narzeczonej — wszyscy sprzysięgli się, aby mi przeszkadzać. Przed chwilą Pietro...

— A teraz ja!—ha, ha, ha, uprzejmie przyjmujesz gości, niema co mówić—zawołała Angela.

Benedetto z przerażeniem przekonał się, że jego narzeczona nie była samą; tuż za nią ukazał się jej ojciec Domenico Dolce, w jasnym spacerowym garniturze, przyjaciel naszego wynalazcy Marco Nogari i jakiś nieznajomy.

— Najście Hunnów! tak, mój Benedetto — rzekł Marco, ściskając dłoń przyjacielowi — pozwoliłem sobie przyprowadzić tutaj p. Orbetto, który niezmiernie pragnie poznać cię...

Furini skłonił się w milczeniu, chłodno, przygryzając usta. Ta niespodziewana wizyta nie budziła w nim zachwytu; spojrzał pytająco na narzeczoną.

— No, nie gniewaj się, Benedetto!—rzekła Angela Dolce — Hunnowie mają dobre zamiary, chcą bowiem oderwać cię na chwilę od szczytów kultury, gdzie przebywasz od tak dawna, i przenieść na łono natury. Czyż ty nie wiesz, że w Niedzielę grzech pracować? Zamykaj natychmiast tę swoją jaskinię, zabieramy cię przemocą. Ojciec kazał przygotować bacik i robimy wycieczkę na morze! Patrz, co za cudowny dzień! Boże! on nawet nie pootwierał okien!..

Rzekłszy to, piękna brunetka pchnęła ramę i nagle do ciemnej pracowni wpadła struga balsamicznego powietrza przesyconego wonią kwitnących migdałów i pomarańcz, mieszając się z przenikającym odorem chemikalii.

Ale Benedetto nie raczył nawet spojrzeć na szafirowe niebo, po którem przemykały maleńkie, srebrne obłoczki; urocza przyroda nic a nic go w tej chwili nie obchodziła, a jedynem jego pragnieniem było prowadzić dalej przerwane doświadczenie.

— Widzisz jak pięknie na świecie, a ty całymi dniami przesiadujesz w tej norze—ciągnęła dalej Angela — twoja matka mówiła mi nawet, że często tutaj nocujesz—czyż to możliwe, w takim zaduchu! Patrzcie, moi państwo, jak on wygląda!

Benedetto spojrzał na swoje zasmolone, poplamione kwasami rękawy, na pofarbowane, spalone dłonie—i zawstydził się. Narzeczona jego miała słuszność; z pozoru można było go wziąść za pospolitego robotnika...

— Trudno żebym siedział tutaj we fraku i w białych rękawiczkach—odparł.

— Przebierz-że się prędko, Benedetto, bo czas leci, słońce zniża się ku zachodowi — rzekł Marco—gdzie odzież pana Furini? — dodał zwracając się ku Paulowi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Nasza działalność
w sprawie zapobiegania upadkowi kobiety.

Trzed paru tygodniami podaliśmy w zarysie zapatrywania nasze na to, co przedsięwziąć winny stowarzyszenia kobiece u nas, aby w zakresie środków swoich wystąpić za przykładem europejskiego zachodu do czynnej walki ze wzrastającym upadkiem obyczajów. O środkach wychowawczych prowadzących do zapobieżenia temu zamilczeliśmy z rozmysłem całym, albowiem te, o ile są zależne od nas, dyktuje ustrój rodziny, poza obręb którego my w widokach i założeniach naszych nie wychodziliśmy wcale. Jeśli mówiliśmy o usiłowaniach, to tylko takich, któreby mogły przeciąć, ukrócić czy zmniejszyć złe istniejące dzisiaj, gdyż to była właśnie, zdaniem naszem, robota pierwsza, najnaglejsza — ta wreszcie, od której rozpoczyna się wszędzie.

Ponieważ jako jedyny objaw widomy działalności dotychczasowej niewiast naszych w tej sprawie, mamy ich obrady w sekcyi dla pracy kobiet, przeto uważamy sobie za obowiązek powtórzenie zapadłych tam wniosków, w tej formie, w jakiej je do wiadomości publicznej podaje kronikarz „Tygodnika Illustrowanego.“ Oto treść dosłowna tego dokumentu:

I. Uważamy za niezbędne obok akcyi ratunkowej mającej na celu jednostki, rozpoczącć piórem, słowem i czynem akcyę zapobiegawczą, dążącą do zmiany warunków złe wywołujących. W myśl tego uważamy za możliwe wprowadzenie reform wychowawczych, któreby subtylizowały (najpewniej wysubtelniały. Red. Tyg. Ill.) pojęcia moralne, dążyły do podniesienia społecznego stanowiska kobiety. Za takie środki uważamy:

1. Koedukacyę (wspólne nauczanie dla obojej płci)—2) Oddanie moralnemu wykształceniu należytego stanowiska — 3) Przy wychowaniu niepomijanie kwestyi moralności obyczajowej—4) Szerzenie ruchu etycznego przez odpowiednie odczyty, zakładanie towarzystw i t. p.

II. Jakkolwiek uznajemy, że wszelka działalność zapobiegawcza dla podniesienia warunków ekonomicznych bytu kobiet, przy dzisiejszych stosunkach społecznych, jest tylko ratunkiem dla jednostek, uważamy jednak za

pożyteczne: a) podniesienie fachowego wykształcenia kobiet przez zakładanie szkół fachowych i tworzenie stypendyów ułatwiających kształcenie—b) otwieranie biur stręczenia pracy—c) zawiązywanie stowarzyszeń robotnic ze wspólnemi mieszkaniami, kuchniami etc.—d) dopuszczanie kobiet do stowarzyszeń zawodowych już istniejących.

III. Zakładanie biur obrony prawnej dla kobiet.

Milczenie bywa często o wiele wymowniejszem od słów, i dlatego referat dany jest dla nas zrozumialszym przez to, co w programie swoim pomija, aniżeli przez to, co niejako poleca do wykonania. Nie potrzebujemy wdawać się w kładzenie kropek nad i, albowiem czytelnicy „Tygodnika" jeśli pamiętają uwagi nasze nad przewidywaną działalnością w sprawie podźwignięcia moralnego kobiety upadłej, i porównać je zechcą z tem, co w kilku punktach streszcza referat sekcyi kobiecej, zrozumieją odrazu, że wyszliśmy z założeń wprost i zasadniczo tym przeciwnych.

My opiekę nad tą upadłą, która żyje dzisiaj polecaliśmy gorliwości stowarzyszeń kobiecych, podczas gdy referat przytoczony przez nas zaledwie napomyka o tej części pracy w kilku słowach — najwyraźniej nie przywiązując do tej akcyi natychmiastowej szczególnej ważności.

My zabezpieczenie przyszłych pokoleń kobiecych zdawaliśmy na rodzinę, podczas gdy referat najwyraźniej podźwignienie kobiety powierza troskliwości społeczeństwa, i przepisuje ad hoc cały szereg desideratów wychowawczych, o których wyraża się: (*uważamy za możliwe wprowadzenie reform i t. d.*) a tem samem uznawać je musi za dostępne dla siebie i od woli wnioskodawczyń samych zależne.

Na ten punkt, t. j. na ową dostępność i zależność zapatrywania nasze są trochę mniej optymistyczne.

A jest jeszcze kilka innych, których tutaj milczeniem pominąć nie możemy. Zacznijmyż od onego — jak je „Tygodnik Illustrowany" skorrygował — *wysubtelnienia pojęć moralnych*, których wprowadzenie w programy wychowawcze wywołać ma jakoby podniesienie społecznego stanowiska kobiety. Daje to do zrozumienia, że drogą wysubtelnienia dojść ma kobieta do podniesienia swego stanowiska społecznego, a jako podniesiona stać się może w przyszłości wyższą nad poniżenie i upadek. Chyba tak rozumieć to należy.

Długa to pewnie będzie droga, która ma i ten jeszcze przy swoim paragrafie znak zapytania do postawienia, że związek między wszelkiem wysubtelnieniem się jednostki, a jej wyższością moralną nie jest bezpośrednim. Cóż jednakże mówić o takich wypadkach, gdy pozycya towarzyska i stan zamożności na jakiekolwiek wysubtelnienia nie pozwalają, a wiadomo przecież jak stoi ta sprawa wśród warstw i sfer społecznych, które najpierw winny pod tym względem mieć ku sobie wyciągniętą rękę pomocy. Alboż to zresztą najbardziej wysubtelnieni są najmoralniejszymi w życiu. O tem możnaby wiele, bardzo wiele powiedzieć.

Wedle pojęć dotychczasowych na straży obyczajów stał dogmat religijny, powszechny i powszechnie adoptowany przez rodzinę chrześcijańską. W mniemaniu naszem nie zużył się on bynajmniej i tam, gdzie on nie jest czczem słowem, ale gdzie się stał duchem i treścią wychowania kobiety, o podźwignienie jej moralne troszczyć się nie potrzebujemy.

Nie widzimy też dokoła, aby się społeczność nasza, z wyłączeniem chyba owych wysoce wysubtelnionych, rozglądała za doskonalszymi drogoskazami moralności, niż te, jakimi się kierowała do tej pory, albowiem tej powszechności wcale nie pilno wyjść z ducha i z formy, które jej weszły w krew i życie, i chwycić się tych wskazań, jakie przynosić ma ze sobą ruch etyczny—wskazań nietylko ogółowi całkowicie obcych, ale nadto wśród samych inicyatorów ruchu niedosyć ujednostajnionych i dotąd wcale dla użytku mas nieskodyfikowanych. Jestto tedy kwestya, najściślej biorąc, pedagogiczna, która dotąd pozostaje w ręku tak zwanej rodziny, i mamy wszelkie powody mniemać, że czas jakiś pozostanie tam jeszcze. Reszta aż po dzień dzisiejszy unosi się w chmurach i obłokach.

Nawet nie w chmurach i nie w obłokach szukać należy niestwierdzonej użyteczności wskazania pedagogicznego, które referat pomieszcza w § 1, a pomieszczając je tam, nadaje mu tem samem cechę szczególnej doniosłości w sprawie wychowania. Mówimy to o tem, co się referatowi podoba nazwać czysto polskim terminem *koedukacya*. Termin nie nasz, pojęcie nie nasze, a iżby o niem powiedzieć to, co sumienie i obowiązek powiedzieć nakazuje, jest ono i zapatrywaniom na kobietę, i kulturze naszej, i metodzie wychowawczej wbrew przeciwne. Nie lękamy się też, aby ku niemu wyciągnięto u nas ręce, bo na tyle łatwowierni nie jesteśmy znowu, aby ktoś nowostkę rażącą absurdem przeszczepiać myślał na grunt rodzinny bez jakichś przecie sprawdzeń, azali ona gdziekolwiekbądź u obcych stosowaną była, i jakie tam w wynikach dała rezultaty. Otóż była—wiadomo dobrze że była, i nieobce są również jej owoce. O Ameryce mówić przy tej sposobności nie potrzebujemy, ale jak się powiódł eksperyment we Francyi mieli sobie czytelnicy nasi w szczegółowem sprawozdaniu opowiedziane przed paru laty. Zresztą o czem tu mówić nawet — toż to się z tego każda uczciwa i rozumna matka rodziny roześmieje na gardło całe.

Nie pojmie też nikt zresztą, dlaczego referat sekcyi kobiecej każe w końcu starać się o jakieś dla kobiet mieszkania wspólne i separowane od męzkich, a nie pojmie dlatego, że z tej *koedukacyi* programowej jako następstwo proste i logiczne, jeśli mamy w dalszym ciągu mówić po polsku, musi wyjść koniecznie *koabitacya*. Co godne zalecenia w 10 i 12 latach, tembardziej godne przy dojrzałości, jak najwcześniejszem uświadomieniu, a nadewszystko wysokiem wysubtelnieniu pojęć.

T. M.

Listy człowieka szalonego

p. Andrzeja Niemojewskiego.

(SPRAWOZDANIE).

Zdawałoby się, że wyrażenia: człowiek normalny i anormalny—zrównoważony w myślach i szalony, są to określenia ścisłe i bezsporne, i że klasyfikowanie jednostek do jednej z tych dwóch kategoryj, szczególnych trudności przedstawiać nie powinno.

Życie poucza nas, że bywa niekiedy inaczej. Nazywano nieraz szaleńcami takich ludzi, których późniejsza epoka mieściła w panteonach — szalonym bywa wogóle każdy pragnący od chwili obecnej więcej, niż ona dać może — kandydatem na szaleńca jest człowiek stanowiący wraz z myślą swoją bezwarunkową mniejszość w stosunku do ogółu współczesnego.

Jakiego rodzaju zboczeniu sądu podlega człowiek szalony p. Niemojewskiego, postaramy się objaśnić w kilku słowach.

Wyłączność jego opinii nie na tem polega, żeby stanowił wraz z niemi przeciwieństwo odnośnie do całego społeczeństwa, ale raczej na tem, że jest człowiekiem przekonań własnych w obrębie pewnej grupy społecznej—że się na kierunki tej grupy nie pisze, zharmonizować z nią w zasadach nie może, i że przekonania swoje i wątpliwości wypowiada śmiało a bez zastrzeżeń.

Ważnem jest bardzo, że człowiek ów, mówiący od siebie i za siebie, myśli i mówi tak jak myśleli do chwili przedostatniej wszyscy jemu podobni, że zatem inwestyturę szaleństwa swego zawdzięcza on prądowi świeżemu, nurtowi, który powstał wczoraj, a który czuje się dosyć silnym, aby wydawać hasła, zapozywać i sądzić. Idzie już tylko, jak się wobec tych haseł i manifestów zachowuje ogół?

Właściwie mówiąc ogół milczy. Zapowiadają mu rzeczy wielkie i niebywałe — on nie zaprzecza tym ewentualnym jutrzniom i błyskom przyszłym, ale czekając cierpliwie objawień i świtów, z granic powściągliwości nie wychodzi, entuzyazmem na kredyt nie szafuje, z uznaniem i uwielbieniem dla myśli i jej przedstawicieli, zatrzymując się do chwili, w której będzie miał co uznawać i za co uwielbiać. Za tę jego powściągliwość dostają mu się z łaski tego prądu epitety dosyć jaskrawe i rażące, spotykają go różnego rodzaju potrącenia, na które on nie zdaje się nawet ruszać ramionami. Cóż robić! Ogół, nb. ogół uświadomiony, jestto zawsze bardzo wysoko postawiona osoba moralna, i dlatego trzeba tę jego wielkopańską manierę uwzględnić—nie powiadamy: darować mu, bo ogół nie potrzebuje tego. Ale przystąpmy do rzeczy.

Chcąc zrobić znajomość z naszym szalonym musimy wraz z nim nawiedzić sferę artystyczno-literacką—tę właśnie, której tyczyło się wstępne, przed chwilą wypowiedziane słowo nasze. Nie żyje zresztą już pono ów człowiek, umarł sobie, pozostawiwszy wiązkę listów, która z drugich rąk dostała się p. Niemojewskiemu. Przez uprzejmość dla ogłasza-

jącego drukiem te listy, wierzymy, że tak było a nie inaczej.

Kłóci się w pierwszych listach ów anormalny pan ze swoim panem Ludwikiem jakimś o pewne pojęcia współczesne, my wszakże, pominąwszy te spory, zkąd indąd dosyć ważne, chwytamy go w chwili, gdy się na ulicy spotyka ze znajomą swoją Bronką, a ta proponuje mu odwiedziny wspólnego ich obojga, a jej szczególnego przyjaciela Gustawa Szaniawskiego—pod tę chwilę chorego. Jest to artysta malarz, a ta Bronka, która nam co chwila w opowiadaniu przypominać się będzie, to jego i całej malarskiej kolonii uprzywilejowana... modelka. Bronka jest u Szaniawskiego jak u siebie, zajmuje się właśnie przyrządzeniem herbaty wieczornej, a zanim ona zrobi tę herbatę, i zanim się między chorym maestro i jego gościem zbierze na rozmowę, my słów kilka o przeszłości tego dziewczęcia powiedzieć musimy czytelnikowi.

Znalazła się Bronka wraz z rodziną swoją na bruku warszawskim, dzięki ciężkim warunkom ekonomicznym, które setki gniazd podobnych jej gniazdu rozmiatały po świecie. Nie wyniosła z domu wykształcenia żadnego, nie wyniosła nawet wychowania, a jako dziecko epoki ostatniej, urodziła się już z buntem w duszy przeciwko tego rodzaju powadze rodzicielskiej, która nie mogąc zapewnić jej bytu, tem samem powagą być przestała. Ojciec szuka pracy, matka zajęta młodszemi dziećmi, a Bronka gryzie swoje wędzidło i rozgląda się. Warszawa to jest takie dobre miasto, w którem młoda rozglądająca się dziewczyna rychlej czy później trafić musi na kogoś rozglądającego się. A że miała ona w tym względzie ułatwienia pewne, bo jednego z takich ujrzała w domu rodziców, więc zaniosło się odrazu na to w jej losach, że upadek będzie już tylko kwestyą czasu. Co ona jednak miała biedy z temi swojemi staremi! Matka raz w wielkiem rozżaleniu uderzyła ją, ojciec nie dokuczał jej nigdy, tylko posmutniał zupełnie i pochylił się trochę więcej. Zdarzyło się właśnie tak, że dostał on miejsce rządcy gdzieś daleko na Litwie, ale Bronka powiedziała sobie, że za nic nie pojedzie z rodzicami. Gdzieby też ona ztąd od tego swojego Stefka odjechać miała! Czuła wprawdzie, że on z nią bardzo nieuczciwie postępował od początku samego, a im dalej tem nieuczciwiej, ale cóż było robić, kiedy ona wiedziała, że sobie Stefka z głowy wybić nie potrafi. No i mimo tego zabrali ją tam daleko na tę jakąś Litwę, ale ona odrazu postanowiła uciec ztamtąd—żeby niewiedzieć jakie przeszkody. Uciekła raz — złapali ją w drodze i przyprowadzili do domu; uciekła potem drugi raz, ale i wtedy jej się nie udało, dopiero po trzeciej nieudanej ucieczce przekonali się ci niemądrzy starzy, że ani sposobu jej zatrzymywać w domu, a nawet sami ją odwieźli, bo inaczej zresztą przez wzgląd na młodsze rodzeństwo nie było można zrobić. Przyjechała do Warszawy, pędzi do swojego Stefka, znajduje go w domu, ale ten przyjrzawszy się jej bardzo był markotny, i oddał ją w opiekę swojej jakiejś ciotce. Panie odpuść—taka też to była i ciotka! Jak to tam już minęło wszystko co było najgorsze, poznał ją Stefek z artystami, a że już widać miał jej do syta, więc na jakiejś bibce kawalerskiej podpoili niemądrą Bronkę, oplątali w niepoczciwą scenę z Julkiem, no i od Stefka przeszła do onego Julka. Od Julka do Stasia, od Stasia do Gucia. Zawsze kochała niby tego pierwszego, ale teraz kocha Gucia. Tak przynajmniej opowiadała Bronka sama w przytomności tego Szaniawskiego człowiekowi szalonemu. Reszta godności i serca jakich w tem opowiadaniu złożyła dowody, polegała na tem, że ani nazwiska rodzinnego, ani nazwy wioski, w której się rodziła powiedzieć nie chciała.

Źle bardzo nastroiło to opowiadanie człowieka szalonego. Artystycznym spalonym podniebieniom mogła się ta cała kolej rzeczy wydawać najzwyczajniejszą, a nawet bardzo w przebiegu swoim trywialną—człowiek szalony uczuł się nią bardzo boleśnie dotkniętym i patrząc w oczy tej istoty, dzisiaj startej i upadłej, uzupełniał sobie rys po rysie klęski takiego upadającego domu, a następnie cały tragizm jego zagłady i poniżenia. Nie mogły go też przychylniej usposobić rozwieszone na ścianach wielorakie studya postaci Bronki pozbawione dezabilów, ani wykrzykniki Szaniawskiego, które ten odśpiewywać przed nim zaczął, niby zegar swoje codzienne kuranty.

„My, kapłani sztuki — mówił rozgoryczony obecny właściciel Bronki — dajemy ludzkości nasze natchnienie—ciało i krew naszą, kształcimy ją, wychowujemy, podnosimy ze stanu bezmyślnego zbydlęcenia, uczymy ją uczuć, wnikać w siebie, tworzyć piękno nieśmiertelne i t. d., i t. d.

Nie mógł jakoś człek szalony połapać się w tem wszystkiem; nie mógł dopatrzeć związku między nieśmiertelnością, wychowywaniem ludzkości, a temi pojedynczemi wystawionemi na pokaz częściami ciałoskładu tej dziewczyny, i z odpowiedniem naiwnem pytaniem wystąpił do artysty.

— Powiedz mi panie Gustawie jedno. Dlaczego malowanie Bronek i t. p. ma być kapłaństwem i dlaczego ludzkość ma za to padać w proch przed pańskiemi stalugami?

Na to oczywiście odpowiedziano mu, że jest klocem bez zmysłu estetycznego, filistrem nie mającym pojęcia o tem, co to są nieuchwytne stany ducha, nastroje, że wyraźnie gubić się musi w jakiejś metafizyce, która niedoprowadziła świata nigdzie i nie doprowadzi go w przyszłości, że on, Szaniawski, zna to wszystko, ale gardzi tem, jako pozbawionem żywiołu artystycznego, że na świecie coś jeszcze warci są artyści, a oprócz nich dobre modelki.

Człowiek szalony przyjął to wszystko do wiadomości. Od bardzo dawna oceniając dobrodziejstwa sztuki, przyznać musiał racyę bytu i artystom i ich modelkom nawet, nie mógł wszakże nie zanotować sobie na marginesie, że pozyskanie jednej takiej jak Bronka dziewczyny na ten użytek, zbyt dużo łez, krwi i hańby kosztuje, i że wogóle z wysokimi nastrojami ducha wspólności ono nie ma żadnej. Oto był punkt, w którym się z Szaniawskim zgodzić nie mogli.

Już to wogóle w świecie sztuki wcale nieszczególnie powodziło się człowiekowi szalonemu. Oto naprzykład spotykamy go w powrocie z Krakowa, dokąd jeździł na wystawę Grottgera. Wraca przygnieciony cały brzemieniem tego bezmiaru, którego dech powiał nań z pod ołówka nieśmiertelnego mistrza, wraca streszczony w sobie i bogatszy, i dumniejszy, niż był przedtem, aż tu na jednej ze stacyi drogi żelaznej przychodzi mu się natknąć na t. zw. Julka, także artystę, i także niegdyś właściciela Bronki. Oczywiście powitania i wzajemne objaśnienia o celu podróży. Artysta przerywa sobie opowiadanie o swoim obrazie: Melancholia topoli, i o hr. Żaglińskiej, do której jeździł zaproszony na polowanie, bo właśnie zachód słońca pochłania w tej chwili całą jego uwagę.

„Widzisz pan, mówi wskazując, to palenie się nieba? Niech pan na takie rzeczy zwraca uwagę—radzę to panu jako artysta. Patrz pan: wcale niezłe!—wcale dobre! Trochę tylko z prawej strony karmin za mało się pali, a po lewej fiolety zjawiają się zawcześnie. Zresztą nie mam nic do zarzucenia.

Bardzo to było łaskawe dla przedstawienia, które przyroda dawała na benefis mistrza, ale o wiele mniej łaskawym i pobłażliwym okazał się on, dowiedziawszy się gdzie jeździł nasz szalony.

„Wielka szkoda, mówi mu, że się pan mnie wpierw nie poradził. Straciłeś pan napróżno czas i pieniądze. Nie jeździ się oglądać Grottgera. To średniej miary rysownik, który poświęca wszystko dla swoich pryncypiów. Jako artysta jest on wątpliwym i bałamuci nam tylko publiczność.

A widząc, że szalony coraz mniej panuje nad sobą i coraz bliższy jest wybuchu, dodaje:

„Niech pan nie próbuje mi przeczyć—niech pan słucha — najlepiej pan na tem wyjdzie. Ręczę, że Szaniawski, który był z panem na wystawie, wykazał panu dowodnie i szczegółowo całą manierę tego illustratora tendencyjnego. A przytem ja osobiście nie lubię rysunków kredką—dla mnie barwa to wszystko... Tak, tak panie! Uchwycenie zachodu na twarzy ładnej modelki sto razy większą wartość przedstawia dla prawdziwej sztuki, niż wszystkie zakryte chustkami twarze kobiet Grottgera. Może to zresztą wywiera pewne wrażenie na ludzi sentymentalnych, na szowinistów, na różnych, daruj pan, apostołów w kamgarnach, ale my, kapłani sztuki, wyżsi jesteśmy po nad podobne przesądy, i nas zajmuje jedynie czysty przejaw pierwotnej duszy."

Zaledwie doczekał się stacyi czy przystanku nasz biedny szalony, uciekł oczywiście od mistrza barw, tonów i światłocieni do pierwszego lepszego wagonu, i to był najwyższy stopień pojednawczości, na który się mógł zdobyć w tej chwili.

Mimo że unikał w dalszym ciągu tego człowieka, on zawsze wytrwale wchodził mu w drogę. Złożył mu nawet wizytę, zaprosił do swojej pracowni dla obejrzenia onej „Melancholii topoli," zakupionej przez hr. Żaglińską, która chciała przeczytać jaki dobry o tym obrazie artykuł, a człowiek szalony był recenzentem w dziale sztuki. Znalazł tam i więcej obrazów takich, jak: „Westchnienie wieczoru," „Dusza," „Łkająca rozpacz," „Sąd ostateczny" i znowu wdali się w dysputę o sztuce, przyczem dostało się należycie i Matejce, jako malarzowi, który nie pozostawił ani jednego symbolu, a był przytem zmanierowany, tendencyjny i zasklepiony w narodzie jak żółtko

w jajku. Wyraźnie wziął w opiekę człowieka szalonego ten mistrz Julek, bo chcąc go wypuścić od siebie z jakąś przecie korzyścią, kazał mu zamknąć oczy i odczytał mu ustęp z Androginy.

Szalony niedosyć widać zapanował nad sobą podczas czytania tego arcydzieła, bo śmiertelnie naraził sobie mistrza tym razem. Mógł mu wiele rzeczy darować, ale takiego lekceważenia Androginy... nigdy. Ostatecznie opuścił tym razem człowiek szalony pracownię człowieka genialnego z pojedynkiem na karku.

(*Dokończenie nastąpi*).

Z za rzek i mórz.

Przed rokiem, a może dawniej nieco donosiliśmy czytelnikom o nowoodkrytych terenach złotodajnych na dalekiej północy. Z początku samego pożądliwość ludzka silnie podbudzoną została kilku niezmiernie szybko powstałemi fortunami; rzuciły się tedy tłumy, pomimo że warunki klimatyczne mogły przerazić najzuchwalszego nawet awanturnika. Różnie to tam działo się w ciągu tych ostatnich lat paru; byli oczywiście szczęśliwi, ale nie brakło i takich, którzy w lodach i śniegach zostawili swoje kości nie zdobywszy tyle nawet, żeby im na dalsze próbowanie szczęścia starczyło. Dziś ustaliło się mniemanie, że kopalnie były ubogie, że wyzyskali je doszczętnie pierwsi poszukiwacze, że przeto dalsza walka z klimatem byłaby tutaj całkowicie bezowocną. Wraz z tem zapanowała na Alasce straszna nędza, a jeśli rząd Stanów Zjednoczonych nie przyszle takiej ilości parowców, któreby przed zimą zdołały przewieźć 30 do 40 tysięcy ludzi, tłumy te dziś już głodne i bezradne zupełnie wytępią doszczętnie nadchodzące mrozy. Ospa, tyfus, suchoty szerzą też zniszczenia niesłychane.

Sąd Berliński najwyższej instancyi wydał w ostatnich czasach w pewnej sprawie o niedozwolone nauczanie języka polskiego wyrok, który wedle prawdopodobieństwa posłuży jako prejudykat na przyszłość. Dotąd policya śledziła to, jak je nazywają, obchodzenie ustaw państwowych, i ona skazywała na kary osoby dopuszczające się tego brzydkiego procederu. Z treści obecnego wyroku dowiadujemy się nakoniec, że postępowanie podobne było nielegalnem. Długo co prawda czekaliśmy na to orzeczenie, ale lepiej późno jak nigdy. Odtąd policya do spraw szkolnych bez upoważnieniu zwierzchnich władz edukacyjnych mieszać się nie będzie, zwłaszcza gdy nie towarzyszą czynności nauczania zaburzenia zakłócające spokój. (Niezłe byłoby nauczanie zakłócające spokój publiczny). Dowiaduje się tedy policya z tego ostatniego dekretu, że niewolno jej wydawać zakazów ani nakładać kar, gdy osoba prywatna nie upoważniona do tego uczy prywatnie 6 do 8 dzieci, albo wykłada młodzieży liczącej niżej lat 18-tu, przedmioty objęte planem szkoły ludowej.

Tyle tedy wolno jest nauczać w W. Ks. Poznańskiem, w razie zaś gdyby ktoś nauczał bez pozwolenia większą ilość młodzieży, albo udzielał nauk ponad oznaczoną powyżej ustawę dla szkół ludowych—taki naraża się na odpowiedzialność prawną, ale mu wpierw władza szkolna winna wytoczyć proces przed sądami, a do policyi należeć będzie tylko ewentualne ściągnięcie kary, w razie, gdyby ta wyrokiem była skazaną. To zatem, co stanowiło część najbardziej dokuczliwą, usuniętem zostało tymczasowo.

Wypadki takie, jak śmierć króla włoskiego, oprócz następsiw bezpośrednich wynikających z samej istoty czynu, wytwarzają mnóstwo dodatkowych epizodów, które przeznaczone są jakoby do dalszego bałamucenia głów i wyprowadzania zdrowego publicznego sądu na bezdroża. Oto co podaje jedno z pism włoskich.

Pierwszym z lekarzy, który zbadał zwłoki zabitego monarchy miał być dr. Vercelli i ten ogłasza na skutek odbytej pośmiertnej ekspertyzy, że król Humbert mógł być uratowanym, gdyby miał był przy sobie natychmiastową pomoc. Rany króla, twierdzi dr. V., nie były śmiertelne, a chirurgia rozporządza dziś, jak wiadomo, środkami niemal cudownymi i zdoła *z pewnością wyleczyć nawet najgorszą ranę*, jeśli po zadaniu jej raniony, nie później jak w 5 minut, będzie miał należyty opatrunek. Tymczasem król Humbert pozbawiony był pomocy lekarskiej przez cały kwadrans, albowiem medyk królewski wyjechał gdzieś dalej, a inny lekarz dworski przybył także po czasie.

Przypuszczamy, że asystencya lekarska nie była w istocie na stanowisku swojem, przypuszczamy nawet, że mógł włoski monarcha być ocalonym, jakkolwiek i to przypominamy sobie także, że protokół oględzin lekarskich mówił wyraźnie o przeszyciu serca, co w pojęciach ogólnych łączy się ze śmiercią nieuniknioną. Żeby wszakże, jak twierdzić ma dr. V., wyleczyć można każdą, choćby najgorszą ranę, byle pomoc była natychmiastowa, opinja ta nie znajdzie chyba wiary wśród ogółu, bo takie ocalenie nazwaćby można w istocie cudem, podczas gdy dr. V. twierdzi, że chirurgia dzisiejsza dokazuje nieledwie cudów.

Cud a nieledwie cud, to jednakże niezupełnie jedno i to samo.

Ciekawa rzecz jaki też mieli opatrunek lekarski ranieni przy rozbiciu się pociągu w okolicach Rzymu w parę dni po śmierci króla Humberta. A było tam jednakże 50 osób lżej i ciężej rannych i 15 zabitych na śmierć, którym jakiś nieledwie cud byłby się przydał może.

Tymczasem, bez względu na coraz częstsze katastrofy kolejowe, inżynierya niemiecka odbywała teraz właśnie próby między Wittembergiem a Berlinem, doprowadzając szybkość pociągu do 110 kilometrów na godzinę. Puszczono w ruch parowóz wraz z pięciu wagonami. Mamy bardzo wysokie pojęcie o nauce i o skrupulatnej sumienności techniki niemieckiej, a tu sfery inżynierskie orzekły właśnie, że jazda tak szybka przedstawia mniejsze niebezpieczeństwo, niż przy szybkości dotychczasowej 75 — 80 kilometrów. W każdym razie wobec takiej ilości wypadków, jakich byliśmy świadkami w ostatnich czasach, powiększanie tak znaczne szybkości jazdy przedstawia się bardzo szczególnie.

Paryzki „Temps“ rozpisał kwestyonaryusz do najznakomitszych przedstawicieli literatury, nauki i filozofii. Idzie tam o horoskopy odnośnie do przyszłości belletrystyki. Jednem z powszechniejszych przewidywań jest wróżba dłuższych utworów powieściowych niż te, które daje chwila obecna. Treścią ich mają być przeważnie kwestye społeczne; niewykluczony też jest romans psychologiczny z jego subtelnościami i wnikaniem w stany i przejawy duszy ludzkiej. Co do noweli, której zaletę stanowiła dotąd zręczność i artyzm budowy przy możliwie niewielkiej obszerności, ta uledz musi reformie. Utrzymują, że przeciętna forma noweli takich, jakie daje Bourget obowiązywać ma na przyszłość w myśl smaku sfer czytających. Jest też mowa i o tem, że romansopisarstwo za przykładem Anglii przechodzi coraz bardziej w ręce kobiece.

Z wystawą paryzką, sądząc z korespondencyj, które się z nią nielitościwie obchodzić poczynają, i z pewnych objawów wymownych, źle jest podobno naprawdę. Produkcya francuzkiego przemysłu w dziennikarstwie europejskiem doczekała się miana tandety, drożyzna i wyzysk na każdym kroku obniżyły to przedsiębiorstwo do poziomu spekulacyi pospolitej, a przytem powikłania polityczne w świecie całym i stan finansowy ogólny nietylko chwiejny, ale i niepewny bardzo, odstręczają spodziewane miliony gości, na których liczyli organizatorowie wystawy. Niedopomagają też wszelkie zniżki cen biletów wejścia i zapowiedzi przedłużenia tej nieudanej komedyi aż przez całą nadchodzącą zimę.

K.

A. S.

KLĄTWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

— No! to się nazywa *mortuus et supultus* — monologował Werner brząkając palcami po szybie i wpatrując się przez zaśnieżone okna w opustoszały, o zmierzchu zimowym, rynek małego miasteczka.—Niema co w samej rzeczy powracać z nim do tego przedmiotu, ale właściwie jaka może być moja rola odnośnie do człowieka, przez wzgląd na którego osadzono mię tutaj—coraz mniej rozumiem. Nie wiem o nim nic, a wyraźnie stary życzy sobie, abym wiedział wszystko. Jak dokazać tego? Przecież nie będę plotkował w Czarnobrzegu jak stara kumoszka i rozgrzebywał niedyskretnie przeszłości człowieka, który jak się domyślam, był niegdyś wartością nie byle jaką. A bez tego ani rusz! Jednej rzeczy wszakże rozumiem najmniej. Pokończywszy wszystkie z tutejszym światem, z nauką, ba! z życiem całem obrachunki, dlaczego ten człowiek nie wyjeżdża z Czarnobrzegu? Co on tu ma? — co jego wiąże do tej nory — może

i znośnej w porze letniej o tyle o ile, ale zimą wcale nie lepszej od jakiejś mieściny w Pińszczyźnie położonej?

Ha! czas może da mi wskazówki jakiekolwiek, ale wyznaję, że otwieraniu tego zamku bez klucza dam chyba za wygranę. Podobno wszystko przychodzi z czasem do człowieka umiejącego czekać—będę czekał.

Zaledwie wniosła przy zupełnym zmierzchu służąca światło do pokoju, usłyszał dr. Werner dwa dyskretne uderzenia we drzwi, a po nich wsunęła się do pokoju postać chałatowa, która nie czekając aż jej zapytają o przyczynę odwiedzin, skłoniła się uniżenie oznajmiając krótko:

— Ja proszę wielmożnego doktora jestem felczer—tutejszy felczer.

— Ano, co mi powiecie?—pytał dr. Werner, przymus sobie zadając, bo mu dotąd z myśli zejść nie mógł ów człowiek widziany dzisiaj. Przyznawał właśnie przed sobą, że indywiduum w tym stopniu bankructwa duchowego z pewnością po raz pierwszy w życiu spotyka. Nie chciał jednakże zrażać tego przyszłego pomocnika codziennego w zawodzie, i rozważał jako nieświadomy życia prowincyonalnego, na jakiej ma się z nim stopie postawić odrazu — dlatego wybrał zapytanie, które tamtą stronę do mówienia zmusić było powinno.

— Ja przyszedłem wielmożnemu doktorowi ofiarować moje służby—pan Młodziński przywołał mię wczoraj i kazał się zameldować — to i jestem. Może—dodał po przestanku pewnym—jaki interes załatwić, to ja na wszystko chciałbym być dogodnym... także względem golenia...

A nie słysząc nic, próbował zainteresować przyszłego pryncypała opowiadaniem.

— My tu żyli, wielmożny doktorze, i jak żyli—zaczął kręcąc głową — ale to już dawno minęły te czasy; o dziesięć mil ztąd wiedzieli o nas, a z bryczki na bryczkę siadało się — ani dnia, ani nocy spokojnej, ale ruch był taki, że poszukać na okoliczność.

Nie podniósł dr. Werner i tej pierwszej próbki małomiasteczkowego plotkarstwa, przeczuwając, iż mu zeń żadna wskazówka nie wytryśnie, bo czyż w sprawie tak delikatnej natury, informacya sfery ciemnej a interesownej na cokolwiek przydać się mogła. Objaśnień dostarczyć mógł tylko czas jeden, i na te objaśnienia czekać należało cierpliwie. Zwrócił tedy rozmowę na sprawy, które dlań były najżywotniejsze, a które przykre wrażenia odebrane na wstępie najskuteczniej mogły rozproszyć.

— Jak tu ze zdrowiem w mieście?

— Chorują ludzie.

— Krosty—tyfus?..

— Jest wszystko jak wypada, tylko...

— No, no?..

— Wiadomo wielmożnemu doktorowi przecie, jak to tu u nas. To też kto się ma wychorować to wychoruje, a kto nie to nie...

— Doktór Młodziński wcale nie chodził do chorych?

— I chodził i nie chodził. Jego nigdy nie można spenetrować, jaka na niego przyjdzie planęta. Jedneg razu, to my jego nawet nie zaczepiali, a on się przy chorym sam znalazł i noc przesiedział, i wziąść nic nie chciał — jeszcze w aptece sam zapłacił—drugim razem przychodzą, płaczą, proszą, całe kupy pieniędzy kładą—uszy sobie zatka—za cztery zamki się schowa... żebyś nad nim dom podpalił, nie wyściubi głowy. Kto jego zmiarkuje! — dodał w końcu, oglądając się ostrożnie, azali nie jest słyszanym.

Miał już Szyja Weingold taką plemieniu swemu właściwą ostrożność, która mu się nigdy zapędzić nie pozwalała. A nuż tamten ożyje jeszcze?—myślał, bo ten człowiek, którego satelita jego widywał w bardzo trudnych i burzliwych czasach, do różnych go przyzwyczaił niespodzianek.

Nic pozytywniejszego nie dały d-rowi Wernerowi kilkakrotne z miejscowym aptekarzem rozmowy, w których odludek komentowany bywał z prawdziwie parafiańską manierą. Miano dzisiaj żal do niego, że przestał być tem, czem był niegdyś, i dlatego żaden fakt, w którym on udział przyjmował, nie przemawiał za nim w tych sprawozdaniach. Płytka, tuzinkowa, małomiasteczkowa zawziętość ukrywała się w każdym słowie połączona z lekceważeniem, z jakiem traktowani są ludzie zchodzący lub zeszli z pola.

Wkrótce pod wpływem wzrastającej ciągle pracy, która się niekiedy stawała nawet gorączkową i wyczerpującą, zapominać zaczął dr. Werner o swoim tajemniczym, o ścianę od niego żyjącym, koledze, który, jak się zdawało, rad być musiał tej niepamięci, bo się sam nigdy ani z radą, ani uwagą, a nader wyjątkowo z towarzystwem swojem narzucał.

Ilekroć jednakże zaszła potrzeba nieuniknionа odwołania się do jego w sprawach zawodowych znajomości rzeczy, tyle razy przekonywał się młodszy kolega, jakim dzielnym on musiał być w swoim czasie pracownikiem, a jeśli czemu dziwił się wtedy dzisiejszy lekarz Czarnobrzega, to niezjałowiałej dotąd sprężystości umysłu i pewności siebie, z jaką rzeczy nauki traktował. Przeżyła w nim wyraźnie wiedza pragnienia wszelkie i samą nawet ochotę do życia.

Tej ekscentryczności upodobań, tych momentalnych powrotów energii i skłonności przejęcia się cierpieniami ludzkiemi, o których mówił w pierwszym dniu felczer, miał mieć i dr. Werner przykład jeden, który mu bardzo wiele dał do myślenia zrazu, ale który następnie jako niedający się zharmonizować z resztą apatycznego jego trybu życia, policzyć w końcu należało między kaprysy właściwe niektórym ustrojom wytrąconym z równowagi.

Było to jakoś w trzecim miesiącu pobytu Wernera w Czarnobrzegu. Zima od połowy Lutego zrobiła się niespodzianie łagodna, mrozy ustały, śnieg stopniał na polach, a podniesiona przedwcześnie temperatura poruszyła nagle w mieścinie położonej na błotnistej płaszczyźnie, wszystkie możliwe w takich warunkach cierpienia. Krup w szczególności srożył się od tygodnia, dziesiątkując małą ludność miasta pomimo młodzieńczej energii i gorliwości, których składał dowody ku powszechnemu uznaniu dr. Werner.

Pewnego poranku, w godzinach wcześniejszych, niż te, które na przyjęcia swoje raz na zawsze naznaczył, przybiegła doń kobieta średniego wieku, nie różniąca się powierzchownie niczem od ogółu mieszczek tamtejszych, przybiegła z naglącą prośbą, aby pośpieszył do jej dziecka, które, jak twierdziła, sine jest jak sasanek, i słowa wymówić już nie może. Lekarz zapewniał, że przyjdzie za dwie godziny; na dalsze nalegania odpowiedział skróceniem terminu do jednej godziny, ale matce rozżalonej wydała się widać o wiele zapóźną ta przyobiecana pomoc, bo wyszedłszy z pokoju lamentowała w sieni głośno, ku zniecierpliwieniu Wernera, który wreszcie odłożył jakieś niecierpiące zwłoki zajęcie, i ubrawszy się naprędce poszedł za natarczywą klientką swoją.

Zastał źle bardzo na miejscu; dławiec był w tem stadyum, że sama nawet tracheotomia przedstawiała nader problematyczne szanse wydarcia śmierci chorego dziecka. Na tę ostatnią walkę z cierpieniem nie mógł się zdecydować lekarz, a nawet tego środka ocalenia rozpaczającej matce niezaproponował. Jak zobaczymy miał po temu powody zupełnie wystarczające. Zdziwiło go jednak niezmiernie, że w parę chwil po powrocie do domu wszedł do niego kolega. Poruszony był jakiś i każdy najsłabszy obserwator zauważyćby mógł, że powściąga się, aby nie pokazać, że to, z czem przybywa, bardzo go zajmuje.

— Czego chciała od kolegi ta kobieta?

— Dziecko...

— Co to takiego?

— Krup.

— I jakże tam jest?

— Źle bardzo.

— Kolega nie myślisz spróbować operacyi?

Milczenie d-ra Wernera było tak wymownem, że mu Młodziński dopomógł poufnem, przyjacielskiem prawie pytaniem:

— Może nie ufasz sobie kolego? powiedz— to rzecz między nami.

— ...Dwa razy robiłem to jeszcze za czasów uniwersyteckich...

— Bardzo pospolite wydarzenie, zwłaszcza gdy się tko oddawał czemu innemu bez widoków praktyki wiejskiej. No, ale czy nie byłoby koledze przeciwnem — gdybym... gdybym ci pomógł? Powiedz — kończył z pewnem drżeniem w głosie — zawsześ to o życie ludzkie chodzi.

W chwilę później wychodzili obydwaj ku wielkiemu zdumienia mieszkańców, którzy nie mogli się dosyć nauwielbiać energii młodego lekarza, bo jak on w istocie tego nieużytego człowieka zdołał wyciągnąć do chorego—mówili wszyscy. Ale po co? czy on mu był koniecznie potrzebny? Co wreszcie za gwałt był taki nadzwyczajny, żeby do dzieciaka takich tam jakichś oberwańców wychodzić, kiedy się głuchym było lata całe na prośby i propozycye najbogatszych obywateli miasta.

Operacya powiodła się, a komentarze złośliwe posypały się niby z rogu obfitości. Plotkowało co żyło, a dr. Werner przez dni parę odebrał mnóstwo napomknięć dyskretnych i bezsensownych, jak się zdawało, przymówek; zaintrygowany tym razem naprawdę, postanowił wreszcie na swoją rękę zasięgnąć języka tu i owdzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Dla nauczycieli szkół ludowych.

W losie nauczycieli i nauczycielek szkół ludowych zaszła zmiana dosyć pomyślna dzięki utworzeniu dla nich kas emerytalnych, których zarys treściwy przedstawiamy poniżej:

Uczestnicy tych kas dzielą się na dwie kategorye: obowiązkowych i dobrowolnych. Do pierwszej należą nauczyciele szkół ministeryalnych utrzymywanych kosztem skarbu — do drugiej nauczyciele wszelkich innych kategoryi. Pierwsi wnoszą w roku zapisania się do kasy na fundusz emerytalny 12% pobięranej pensyi, w latach zaś następnych połowę tej kwoty, podczas gdy drugą połowę dopłaca za uczestnika skarb. Kategorya dobrowolnych nie uczestniczy w tej dopłacie ze strony skarbu, ale resztujące 6% wnosić ma albo sam nauczyciel lub nauczycielka, albo też towarzystwa, instytucye, czy osoby utrzymujące szkołę. Każdy z należących do kasy posiadać będzie swój rachunek osobisty, w którym figurować mają wszystkie wniesione przezeń kwoty, równie jak przypadająca na niego część dochodu kasy. Prawo do emerytury zyskuje uczestnik po latach 15, z warunkiem opuszczenia służby. Dalszy wzrost pensyi emerytalnej idzie w rozmiarze zwiększania się lat urzędowania i w stosunku do wzrostu pensyi nauczycielskiej.

„Ekonomista,“ z którego czerpiemy wiadomości niniejsze, utrzymuje, że nauczyciel, który wstąpił do służby w roku 19 życia, a otrzymywał płacy rocznej przez cały czas rs. 330, będzie pobierał emeryturę: po latach 15 tu rs. 46—po latach 20-tu rs. 76—po latach 25-ciu rs. 129 — po latach 30-tu rs. 175—po 35 rs. 262.

Uczestnicy występujący ze służby przed upływem lat 5 od daty przystąpienia do emerytury, tracą swoje wkłady—występujący po latach 5-ciu mają wkłady zwrócone całkowicie.

Osoby, które okażą się niezdatne do pełnienia służby z powodów zdrowia, zyskują prerogatywy. Rodzina po śmierci uczestnika otrzymuje prawa emerytalne, jeśli mąż, ojciec lub matka należeli do kasy przez lat 10, w przeciwnym razie wdowa otrzymuje zapomogę jednorazową. Dzieci, jeśli żyje ich matka wdowa po uczestniku kasy, otrzymują emeryturę na osobnych zasadach. I tak jedno dziecko otrzymuje 5% pensyi pobieranej w roku ostatnim, o ile ta pensya pobieraną była przez lat 10, a za każdy rok dalszego uczestnictwa w kasie ojca lub matki tego dziecka aż do lat 30 włącznie, emerytura zwiększa się o 1/10 wysokości pierwotnej. Dla dwojga dzieci przeznacza ustawa 1 3/4—dla trojga 2 1/2, dla 4-ga i więcej trzy części pobieranej płacy. Zupełne sieroty pobierają emeryturę dwa razy większą niż posiadające matkę.

Jestto w każdym razie wiadomość nader pocieszająca dla pracowników i pracownic na tem polu.

Informacye.

Na mocy Najwyższego Ukazu ustanowiony został dodatkowy podatek od pasportów zagranicznych wynoszący rs. 5 na korzyść instytucyi Czerwonego Krzyża. Ta opłata obowiązuje wszystkię osoby, które dotąd uiszczały za pasporty zagraniczne po rs. 10, a nadto ulegają podwyższeniu pasporty wyłączone dotąd od opłat na kapitał inwalidów, a mianowicie:

1) Kupców, mieszczan i innych osób należących do cechów—2) Wszystkich cudzoziemców nie będących poddanymi rossyjskimi — 3) obywateli i urzędników udających się zagranicę w sprawach handlowych, jeżeli osoby te zapisane są do gildyi i opłacają podatki handlowe — 4) Rodzin i osób wymienionych w § 3.

Wskazówki i rady.

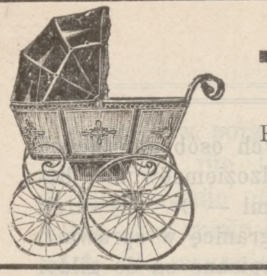
Gulasz prawdziwy węgierski.

Trzy funty różnego mięsa wołowego, baraniego i wieprzowego, wybierając miękkie kawałki, pół funta słoniny, pokrajać w kostkę i włożyć w rondel i pod pokrywą na małym ogniu zasmażyć na biało. Gdy się zasmaży włożyć 6 cebul oparzonych i pokrajanych w cienkie plasterki, wymięszać ze słoniną, niech się 5 minut dusi, wtedy włożyć owe pokrajane mięso, posolić, przesypując bardzo suto papryką, dusić to pod pokrywą całą godzinę na wolnym ogniu, nie mięszając wcale, ale dolewając ciągle po łyżce zimnego bulionu lub smaku z wygotowanych od mięsa kości lub żył. Po godzinie obrać 6 kartofli, pokrajać w kostkę i zmięszać z mięsem, z którem tylko od 10 do 15 minut gotować, to jest póty, póki kartofle będą surowe.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TOWARZYSTWO AKCYJNE



WŁ. GOSTYŃSKI i S-KA

Posiada na składzie w wielkim wyborze: **Łóżka żelazne** od najtańszych do ozdobnych stylowych, **Materace, Umywalnie, Lodownie, Klozety, Wózki dziecinne, Wanny. Meble żelazne, Ławki ogrodowe, Piece najnowszej konstrukcyj.**

Sprzedaż detaliczna **w Warszawie:** MAGAZYN FABRYCZNY **na Wierzbowej № 3,** SKŁAD FABRYCZNY **na Mokotowskiej № 3; w Łodzi:** MAGAZYN FABRYCZNY—**Piotrkowska № 81.**

Sprzedaż hurtowa w Fabryce: **Mokotowska №. 3**

Pracownia Kapeluszy Damskich

SPECYALNOŚĆ KAPOTKI

JÓZEFY SZNAGE

ulica Nowy Świat Nr. 1, miesz. 13.

Stemple do znaczenia bielizny z monogramem, w ozdobnem pudełku z tuszem po **kop. 15** sztuka, oraz szablony i monogramy do robótek kobiecych, poleca **Magazyn stempli, wyrobów grawerskich i pieczętarskich.** 2116

M. Lewinsohn, Marszałkowska 111.

Dozwol przez Urząd Lekar. Gub. Warsz. za № 868.

PUDER „VENUS"

ST. GÓRSKIEGO.

SPRZEDAŻ WSZĘDZIE. SKŁ. GŁÓW. LESZNO № 4 W WARSZAWIE. PUDEŁKO PO 15.30.50 K. i Rs. 1.

NIEDOSTRZEGALNY. BEZ SZKODLIWYCH DOMIESZEK.

Eau Végétale (WODA ROŚLINNA)

najlepsza i najpewniejsza do **farbowania siwych włosów** na kolory: Chatain, Brun i Noir. **Eau Vègetale zjednała sobie liczną klijentelę.** ***Eau Vègétale*** jest jedyny środek najradykalniejszy i najsolidniejszy przeciw siwiźnie. Cena kompletu rb. **2** k. **50,** bez szczotek i pudełka rb. **2,** za przysyłką pocztową **50,** kop drożej.

Skład główny w magazynie **W. Kwiatkowskiego,** dawniej T. Markowskiego, **Bielańska Nr 2** i we wszystkich pierwszorzędnych magazynach fryzjerskich i perfumerjach w Warszawie i w innych miastach.

Dr. A. Buckiewicz

przeniósł się na **Nowogrodzką № 24.** Wewnętrzne i skórne (specyalnie reumatyzmy, skrofuły, nerki). Prócz poniedziałków od 12—1 i 5—6. 206

GRONKIEWICZ Telefonu 1758 Kaucyonowane Biuro Rekomendacyjne

Załatwia wszelkie czynności w zakres biura wchodzące. **DZIAŁ DAMSKI** prowadzony bardzo starannie. Królewska № 6 róg placu Saskiego.

S. HISZPAŃSKI

SZEWC 2047

Od 1 Lipca tylko **Erywańska №. 16.**

ZOFJA KRAKÓW

Z PARYŻA

KAPELUSZE, NOWOŚCI.

4. Czysta 4. 2046

Najtańsze źródło dla

Sztory, Witraże, Kapy na łóżka oraz **Wyroby Pończosznicze** poleca

FIRANKI

w wielkim wyborze i najatniej

MARYA TALMA

KRUCZA 46 obok Alei Jerozolimskiej, dawniej Książęca 4.

robiących wyprawy

ED. ZAPOLSKIEGO

Pracownia i Magazyn Obuwia

przeniesione do GMACHU TOWARZYSTWA „KOSSYA"

przy ulicy **Siennej Nr. 2/A,** róg Marszałkowskij

Poleca wyroby w najlepszym gatunku, wględnie co do gatunku i rodzaju obuwia po cenach możliwie niskich. 2108

GEBETHNER i WOLFF

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Pianin



Fortepianów i Organów

WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

Główny Skład Kryształów Czeskich

fabryki

Hrabiego Harracha

Warszawa, Krakow.-Przedm. Nr. 6.

naprzeciwko kościoła św. Krzyża

poleca duży wybór:

Serwisów stołowych ze szkła i kryształu oraz wiele ***nowości*** z porcelany i majoliki. 2120

Polecamy! Nowo otworzony

Skład Nici

Waleryi Podkowińskiej

Krakowskie Przedmieście № 14.

SKŁAD WYROBÓW LNIANYCH I BAWEŁNIANYCH

Fr. Tomaszkiewicz

Długoletni współpr. firmy Zyrardów

w Warszawie (Krakowskie-Przedmieście № 64), Gmach Resursy Obywatelskiej,

poleca:

Płótna Bielefeldzkie, Żyrardowskie, Jarosławskie i Włościańskie Prześcieradła płócienne i bawełniane, Chustki do nosa, Ręczniki, Bielizna stołowa, Madapolamy, Victorya, Kołdry watowe i pikowe, Dryllichy na materace, Wyroby pończosznicze, Wielki wybór firanek i t. p. 2043

BLECHSCHMIDT Szewc przeniósł się z Nowego Światu

na CHMIELNĄ № 31 (Hotel Royal)

2050

Poleca się względom Sz. Publiczności.

Zmiana adresu

Magazyn Zegarmistrza W. GRABAU

egzystujący od 1873 roku 2055

przeniesiony został na ulicę **Nowy-Świat 57.**

Oryginalne **FONOGRAFY** Edisona

Grafofony i Gramofony

po zniżonej cenie.

oraz wielki wybór oryginalnych **cylindrów i płyt**

jako też najlepsze

MASZYNY DO PISANIA

z widocznem pismem

„Underwood," „Hammond" i inne

POLECA **Magazyn Optyczny**

G. GERLACHA

w **Warszawie (Czysta 4)**

Cenniki bezpłatnie. 2125

PRACOWNIA I MAGAZYN MEBLI

Marszałkowska № 149. **Maksymiljana Kalmusa** Próżna № 2.

Meble stylowe gotowe i na obstalunek. 2083

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Sz. Publiczność, że dnia 7 b. m. otwartą została Cukiernia pod firmą ***Stanisław Ciecierski*** **Krakowskie Przedmieście Nr. 1** (wprost Kopernika). 16-letnia moja praktyka w firmie B. Semadeni w Warszawie daje gwarancyę dobroci moich wyrobów. Cukiernia została z komfortem urządzoną, posiada salę szachową i bilardową, czytelnię.

z poważaniem ***St. Ciecierski.***

Egzystująca od roku 1824

FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH

i Srebrnych 84 próby

Józefa Fraget,

w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.

WŁASNE MAGAZYNY ZNAJDUJĄ SIĘ:

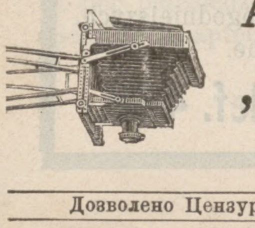
W WARSZAWIE: **Senatorska 17, Krakowskie-Przedmieście 69, Nalewki 16.** **ŁÓDŹ: Piotrkowska 16.** 2010

Szkoła Rękodzielnicza dla kobiet

K. MĄCZYŃSKIEJ

ul. Mazowiecka 11, m. 8.

Przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki na krój, szycie krawieczyzny i bielizny, haft biały, kolorowy, złotem i srebrem. Malowanie, wypalanie, rysunki, pończosznictwo, roboty włóczkowe, stroje, koszykarstwo, introligatorstwo galanteryjne i książkowe. **Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa z cechu krawieckiego. Fortepian na miejscu.** 2124



Aparaty fotograficzne ręczne błonkowe:

„Kodak," „Lloyd," „Delta" i inne,

nie wymagające **ani ciemni, ani umiejętności fotografowania.**

Na sezon letni do wycieczek i podróży!

poleca **P. Lebiedziński**

Warszawa, Krak. Przedm. 65.

Wysyłka na prowincyę za zaliczeniem.

Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Августа 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.